65687

Ryszard Kosiński

TEATR

Jedźcie na Bluesa

Nie ma nic sympatyczniejszego, niż niespodzianki w teatrze. Są one niezbędną przyprawą w pewnej mimo wszystko jednostajności życia recenzenta. Taką niespodzianką jest „Blues dla pana Charlie" w nowohuckim Teatrze Ludowym. Ten „Blues" jest dobrą okazją, by przekonać się, jak pochopne mogą być mity rozsiewane wokół ludzi i zdarzeń. O teatrze nowohuckim pisano, z małymi wyjątkami, niedobrze i nieżyczliwie od kilku lat. Co więcej — często niesprawiedliwie. Przy okazji, oczywiście, wmówiono opinii publicznej, że z takim zespołem aktorskim nic się nie da zrobić. Zobaczcie „Blues dla pana Charlie", a przekonacie się, ilu przyzwoitych aktorów znajduje się jeszcze na tej scenie. Rzecz jasna, to nie są loty Teatru Narodowego, lecz Nowa Huta nie jest Warszawą.

Od kilku miesięcy teatr prowadzi Irena Babel. Objęła ona dyrekcję po [illegible] równie wybitnym, co niepokojącym ludzi przenoszących dobry sen i regularne posiłki nad przygodę i ryzyko artystyczne. Babel zapowiedziała kilka premier i w wywiadach prasowych mówiła o swoich planach repertuarowych i programie artystycznym. Szalenie mi imponują artyści, którzy formułują owe programy. Przecież te idee tak długo, jak nie można ich sprawdzić praktycznie, niewiele mi jednak mówią. W teatrze liczą się bowiem dobre przedstawienia, a nie programy, choć te — jak wiadomo — są szalenie modne.

Otóż jestem — jeśli można — przeciwko takiemu programowi, który produkuje „Żółtą szlafmycę" zgodzić się zaś mogę z ideą rodzącą „Bluesa".

Szedłem jednak na spektakl nowohucki z lękiem, że wezmę udział w jeszcze jednej parafrazie „Chaty wuja Toma". Najbardziej bowiem groźne problemy można zbanalizować. Ich wagę i aktualność zaś da się utrzymać w świadomości publicznej tylko wówczas, gdy prześwietlać je będziemy ciągle nowymi wartościami intelektualnymi. W adaptacji i reżyserii Ireny Babel „Blues" nie stał się na szczęście jeszcze jedną wersją znanego tematu o prześladowaniu Murzynów w USA, lecz czymś głębszym i istotniejszym i — moim zdaniem — wyraźnie korespondującym z procesami społeczno-politycznymi zachodzącymi we współczesnym świecie. Stał się więc przypomnieniem czy też unaocznieniem, iż w obecnym układzie rzeczywistości międzynarodowej najniebezpieczniejsze jest narastanie totalnej groźby konfliktów między białymi a kolorowymi. Najgroźniejszą bombą naszych czasów nie jest bomba „A", lecz bomba konfliktu rasowego — powiedział przed kilku laty zmarły nie dawno polityk amerykański i kandydat do fotela prezydenckiego A. Stevenson.

Babel niczego nie upiększała. Oczywiście można łatwo odczytać po czyjej stronie leży sympatia reżysera tej sztuki. Realizacja sceniczna jednak wyszła poza zdawkowe deklaracje współczucia i filantropii. Rozsnuła ona przede wszystkim nad naszymi głowami ciemną tkaninę szowinizmu, krótkowzroczności i ahistorycznego myślenia, która — jeśli nie przyjdzie opamiętanie — wszystkich nas podusi. Przedstawienie to zbudowane jest przez doświadczonego reżysera widzącego dobrze, co to jest plastyka i kompozycja sceniczna, umiejącego manewrować aktorami w układach kameralnych i grupowych. I niewiele by nam brakowało do szczęścia, gdyby ołówek reżyserski porobił jeszcze większe skróty w tekście, a całość nabrała żywszego tempa, została bardziej zdynamizowana. Blues przecież — jak poucza pani Madaleine Gautier w programie — oznacza dziwne uczucie czegoś najsłodszego i najbardziej gwałtownego.

Aktorsko, jak się powiedziało, przedstawienie stoi na dobrym poziomie, a w tym tle widać jeszcze kilka wyraźniejszych kreacji. Bardzo ładna przede wszystkim jest rola Ryszarda w wykonaniu Tadeusza Wiudarskiego. Interesująco zapowiada się rozwój tego aktora, który stworzył tym razem bogatą postać zbuntowanego i nieprzystosowanego Murzyna. Wydaje mi się jednak, że owymi popisami tanecznymi, które są prawie, jak żywe — aktor zbanalizował nieco tę postać, a w każdym razie nie wzbogacił nimi swej roli. Zostają także w pamięci kreacyjne rysunki Józefa Wieczorka (Lyle Britten) i Józefa Fryźlewicza (Pastor). Pani Junówna bardzo ładnie mówiła swe kwestie, Anna Lutosławska wyglądała pięknie, Stefan Rydel zaś miał do rozegrania najlepiej chyba napisaną w tej sztuce rolę Parnella. Poprowadził ją raczej na nucie jednak nazbyt jednostajnej, brakowało mu zmienności, jakiejś, że tak powiem, dialektycznej perwersji. Rolę Matki zagrała ciepło Maria Cichocka, a z drugiego planu aktorów zapadła mi ostrzej w pamięć Ertha w interpretacji Haliny Dobruckiej i Jerzy Sopoćko (Obrońca). Miejsce nie pozwala mi na odnotowanie nazwisk całego zespołu, który zbudował to ciekawe przedstawienie.

Autorką interesującej scenografii z piękną kompozycją Temidy jest Urszula Gogulska, a bardzo sugestywnego opracowania muzycznego Jerzy Kaszycki.

Przypominam, że do Huty jedzie się autobusem pospiesznym lub „czwórką".